

# LUDWIK BRUNER

JEDEN MIESIĄC ŻYCIA:  
UTWORY PROZĄ

**Ludwik Bruner**  
**Jeden miesiąc życia: utwory prozą**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=24180364](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=24180364)*

*Jeden miesiąc życia: utwory prozą:*

# Содержание

JEDEN MIESIĄC ŻYCIA

4

Конец ознакомительного фрагмента.

39

# **Jan Sten**

## **Jeden miesiąc**

### **życia: utwory prozą**

#### **JEDEN MIESIĄC ŻYCIA**

#### **Jeden miesiąc życia**

*Paryż, dnia 10 grudnia.*

Kochana Wandziu, nie pisałem do Ciebie przez kilka pierwszych dni po przyjeździe; spodziewam się, że nie masz mi tego za złe i rozumiesz, że doprawdy czasu na listy nie miał. Chodziłem już ogromnie dużo i pobieżnie zwiedziłem prawie całe miasto. Nie będę Ci tego opisywał, bo wiesz, że nie lubię się nad takimi rzeczami rozwodzić. Od dwóch dni jestem zainternowany w domu, bo przyplątał mi się ohydny katar z bólem głowy i całym szeregiem innych rokoszy; wszystkiemu winien tutejszy miły klimat. Kiedym przyjechał przed tygodniem, było coś koło 0°, później nagle podskoczyło do 20° i jest znowu najzupełniejsza wiosna. Uwięzienie w domu jest mi tem przykrzejsze, że mieszkam dotąd u Turskiego, a

jego pokoik jest tak mały, iż trudno się we dwóch tutaj obrócić. Rozumiesz, jak to drażni, gdy za każdym ruchem w dosłownym znaczeniu tego słowa trzeba o coś potrać; a mebli znów nie jest tak wiele: łóżko, stół, półka na książki, umywalnia i nieodzowny tu zawsze kominek – marmurowy, szycowny, – na którym się nigdy nb. nie pali.

Turski nie wiele się zmienił od tego czasu, kiedy przychodził do mnie w Warszawie. Nie urósł, nie zmężniał, taksamo zawsze łagodny i spokojny, że tą powagą do rozpaczki przyprowadzić może. Zostałem go w usposobieniu o wiele weselszem, niż to z jego listów wnosić można było. Sądzę, że dużo przesadzał, choć doprawdy bieda rzeczywiście dawała mu się we znaki. Czy miał jakie inne zgryzoty jeszcze, nie wiem. Kilkoletnie oddalenie okropnie nas rozłączyło jednak: stosunki są najprzyjaźniejsze, ale skrupowane jakieś i sztuczne. Ostatecznie, może mi się tylko źle zdaje i z biegiem czasu przyzwyczaimy się do siebie, choć wątpię, czy dojdziemy kiedykolwiek do takiej zażyłości, w jakiej byłem w ostatnich czasach z Bolesławem. Oczywiście, ten nie pisał do mnie i nie wiem zupełnie, co się z nim dzieje.

Z dawnych znajomych prócz Turskiego jest tu jeszcze Poliński; przyjechał coś miesiąc przedemną i miał już zabrać się do pracy, ale nic nie robi dotąd; chodzi po mieście i uczy się niby po francusku. Poznałem kilka osób nowych, przeważnie studentów, którzy się stołują w tej samej, co my restauracyi – nb. podłej, która tylko dla tego do cna nas nie struje, że daje porcyce mikroskopowo-homeopatyczne. Byliśmy też z wizytą u dwóch

»koleżanek« – ma to pewien swój urok, choć o tej szpetocie, nie widząc, trudno mieć pojęcie. Te, których nie znam jeszcze, mają być nie lepsze.

Wobec stanu mego nosa i gardła, nie wiem, czy uda mi się wziąć do roboty przed Nowym Rokiem. Turski opowiada mi niestworzone rzeczy o trudnościach, które przewyciężyć trzeba, aby się gdziekolwiekbaź dostać; taki ma być natłok po wszystkich pracowniach. Pewno przesadza, jak zawsze. Chociaż do nauki Paryż nie jest stosownym miejscem – zwłaszcza dla nas barbarzyńców. Taki tu wir, gwar, taka moc rzeczy nowych, których się nie widziało, takie mnóstwo rozrywek, znajomości, że trzeba żelaznej woli, aby nad sobą odrazu zapanować i do pracy się zaprzęgnąć. Zdaje się, że moja »żelazna« wola będzie pochodziła z braku »złotej« monety. Niestety, tylko takie alchemiczne cuda dziś się dzieją. A Paryż jest drogi piekielnie. Tu się czuje ten dreszcz złota.

– Muszę urwać ten list, bo przyszedł właśnie Turski z Polińskim i postanowili mię wyciągnąć z wizytą do jakiejś nowej koleżanki, która przed tygodniem tu przybyła z Lublina; mieszka jeszcze na drugim końcu Paryża na Montmartre. Turski zaręcza, że podróż na Montmartre jest najlepszym środkiem na katar. Kończę więc – bo i tak już nic nie mam do doniesienia i proszę Cię, abyś odpisała natychmiast.

Twój brat

*Jan.*

Adres: Rue de la Sorbonne 5.

*Dnia 12 grudnia.*

Nie rozumiem, czemu się Turski tak zachwycał tą lubelską koleżanką. Zdaje się, że szło mu o to, aby mię wyciągnąć z domu i samemu później nie wracać. Wcale nie jest ładna, choć rzeczywiście ma miłą, dobrą twarz, a że jest samotna jeszcze i nie ma znajomych, przyjmuje nas z otwartymi ramionami. Byliśmy tam i wczoraj, gdyż ona lęka się chodzić po Paryżu sama, choć umie niezłe po francusku. Oprowadzaliśmy ją po mieście, i to byłoby znośne, gdyby nie trwało zbyt długo. Zabawna dziewczyna: przyjechała niby studiować medycynę; zaprowadziliśmy więc ją najpierw do szkoły medycznej, do prosektoryum. Rzeczywiście panuje tam straszny zaduch, bo sala jest mała i źle przewietrzana. Stoły drewniane i niepodobna nigdy porządnie ich oczyścić. Rozćwiertowany trup sprawił na niej tak straszne wrażenie, że trzeba ją było czemprowadzić. Przez kilka godzin nie mogła się uspokoić. Postanowiła też odrazu, że porzuci medycynę i przeniesie się do Sorbonny na nauki przyrodnicze. Ja radziłem jej, żeby się wstrzymała z zapisem, bo panińskim zwyczajem skończy zapewne na literaturze.

Jutro, jako człowiek jeszcze bez zajęcia, umówiłem się, że pójde z nią załatwiać sprawunki. Musimy wyszukać nowe mieszkanie dla niej w dzielnicy studenckiej, kupić meble i tysiące innych drobiazgów. Nie miałem wielkiej ochoty na ten spacer, bo niewiele mam już pieniędzy, ale niepodobna było się wymówić.

*Dnia 16 grudnia.*

Dobrze, że Turskiego nie było już w domu, kiedy wróciłem. Byłby to koniec naszej znajomości i przyjaźni. Jestem na niego tak zły, że gdybym się nie wstydził sam siebie, wyrzuciłbym mu chętnie jaką przykrość. Zły jestem tem więcej, że ta cała tak drobna w istocie rzeczy sprawa, tak mocno mię obeszła. Do wielu zawodów przybył jeszcze jeden; dlaczegóż ten właśnie gniewa mię więcej od innych? Trzeba raz na zawsze pamiętać, że wyzysk jest pierwotną zasadniczą formą, w której się odciskają wszystkie na świecie stosunki.

Zimne ciało pochłania z gorętszego ciepło, elektryczny ładunek znika rozszarpany przez sąsiadów. Tu rabunek trwa jedną chwilę; ale wśród ludzi, którzy sami mogą się nanowo rozgrzewać i elektryzować, wyzysk ten przeciąga się żywiołowo, bez końca. Jakikolwiek stosunek wzięć, zawsze jedna strona kocha więcej, druga więcej korzysta. Tak chce fizyka.

Tylko po co ten fałsz: narzekania w listach, skargi na samotność duchową, prośby, abym przyjechał. Dlaczego kłamać przed innymi i przed sobą, dlaczego ludzi się nazwami uczuć, których nie ma? Gdyby nie nazwy, które są symbolami, uczucia nasze nie różniłyby się wiele od uczuć ślimaka lub pająka.

Wczoraj nie miałem najmniejszej ochoty wychodzić wieczorem po obiedzie. Niezupełnie pozbyłem się jeszcze bólu głowy. Chciałem zresztą pomówić trochę z Turskim, bo w istocie rzeczy nie wiem, co on robi, nad czem pracuje, jakie są jego plany. Tymczasem Turski uparł się koniecznie, aby iść

odwiedzić Zaleską, tę nową lubelską koleżankę – »bo ona jest sama i potrzebuje życzliwej opieki i towarzystwa«. Namawiałem go, żeby został, ale on uparł się dlatego, że z »zasady nie zmienia swych postanowień«. Czy taki koźli upór nie może do rozpaczki doprowadzić? Naturalnie i ja się zaciąłem, dysputa stała się ostrą. Turski wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, a ja zostałem sam. Byłem tak zirytowany kłótnią, że niepodobna mi było czemkolwiek się zająć; zresztą, jak czytać przy lampie, w której zabrakło nafty! Ogarnęła mię taka złość, jakgdyby Turski naumyślnie był mię zostawił bez światła. Położyłem się na łóżku, lecz nawet z bólem głowy niepodobna zasnąć o dziewiątej. Cisza jest tu straszna, bo okno wychodzi na podwórze, a w domach francuskich ogromnie spokoju pilnują. Tuż obok huczy gwarem i krzykiem Boul-Mich, a w tym pokoju nawet mysz nie zaskrobie. Zdjął mię jakiś niemiły lęk, dziwne wrażenie, które obiega po całej skórze i zewsząd w głąb się przeciska.

Zdawało mi się, że lada chwila drzwi się usuną i będzie można spojrzeć w ciemny, długi korytarz, w którym zwykle okropny przeciąg wieje. Gdziekolwiekbydź próbowałem patrzeć, po chwili musiałem zwracać oczy, aby się przekonać, że drzwi są jeszcze – choć czyniłem to bez strachu. I znosić to wszystko dlatego, że Turskiemu podobało się odwiedzać na Montmartre głupią pannę i wypalać naftę do ostatniej kropli!!

Nie mogłem wytrzymać dłużej w mieszkaniu i wyszedłem na miasto. Wszędzie tłok i wrzawa, kawiarnie przepelnione; mimo chłodnego wieczoru wszyscy siedzą na ulicy, wszędzie

porozstawiane stoliki, między którymi przesuwać się trzeba. Doszedłem do Sekwany, przyglądałem się różnobarwnym świećkom nanizanym, jak paciorki, na jej brzegi, ale rozdrażniała mię ta ciemność i zawróciłem na Boul-Mich. Chodziłem bez celu znudzony i zły na samotność, którą najgorzej odczuwa się w tłumie. Wreszcie po jedynastej spotkałem Polińskiego: wracał z Folies Bergères; był zachwycony, bo widział wystawę przepysznych ciał, które przecież nie jemu się dostaną. Ale przeciętny człowiek jest już z urodzenia altruistą i gdy nie ma własnej, cieszy się rozkoszą cudzą. Przecież gdyby radość bliźniego nas bolała, to w takim Paryżu, gdzie jest tyle do wzięcia, że ciągle czegoś sobie odmawiać trzeba – jutro nie byłoby nic, prócz mordu i pożogi. Poliński nie był jednak doskonałym altruistą, bo zapragnął czegoś i dla siebie i namówił mię, abyśmy poszli »na piwo« do Café d'Harcourt. Mnóstwo studentów i drugie tyle dziewczyn »étudiantes«, nb. o wiele ładniejszych od tych prawdziwych »studentek«, których my do Paryża dostarczamy... Poliński odnalazł jakąś znajomą swoją Jeanne, ta sprowadziła swą koleżankę »Gabrielle« i zaczęliśmy się bawić – po francusku t. j. gadać tysiące głupstw w mniej lub więcej swobodnej pozie, popijając kufelkiem piwa. Potem biegaliśmy po bulwarze, śpiewając: »ce n'est pas de la merde ça, c'est du chocolat«, potem rozeszliśmy się parami... Potem wróciliśmy do domów każdy oddzielnie, unosząc wspomnienie, a zostawiając dwa luidory, które nas »cet amour« kosztował. »Cet amour« gdyż to tutaj w potocznym języku nazywa się miłością;

taksamo jak to, co u nas jest ordynarnem przekleństwem, tutaj zwie się »pocałunkiem«. To jest potęga kultury, ale my barbarzyńcy tak nie umiemy się bawić. Tak długo śpiewano nam o świętości uczucia, że przynajmniej rozpusta musi być dla nas dzikszą, bardziej szaloną i bardziej rozpasaną. Cośmy wyprawiali w Warszawie z tą Mańką modelką... I bawić się na trzeźwo – nie umiemy także, a tu się nie upija nikt.

Gabrielie jest wcale przystojna, i gdybym był więcej zmysłowy, powinienbym być zadowolony z tej świeżej znajomości. Wątpię jednak, czy ją odnowię, bo... cena. Wobec tego, co ma przeciętny student-Francuz, my jesteśmy nędzarami.

Tymczasem korzystam z nieobecności Turskiego, aby zapakować rzeczy i książki, bo dziś lub najdalej jutro chcę stanowczo od niego się wyprowadzić. Gdybym to robił przy nim, zacząłby mię napewne zatrzymywać, boby mu się zdawało, że jestem zagniewany i nic chcę dłużej jego gościnności. Ostatecznie miałby może rację, ale nie chcę, aby to po mnie poznał. Właściwie są to tylko drobnostki: nie rozumiemy się już tak, jakeśmy się rozumieli i znali dawniej; oto cała sprawa.

*Dnia 18 grudnia.*

Przechodząc koło Sorbonny, spotkałem wczoraj Zaleską. Robiła mi wymówki, dlaczego nie byłem u niej razem z Turskim. Pytała o Turskiego, ale nie mogłem jej nic powiedzieć, gdyż wyprowadziłem się od niego jeszcze dzień przedtem, i od tej chwili go nie widziałem. Zaproponowała mi, aby pójść z nią do

teatru, bo jest już późno, a nie wie, gdzieby Władka Turskiego znaleźć mogła. Zgodziłem się chętnie, bo chciałem widzieć teatru paryskie, a sam długobym się namyślał, aby się na wielkie bulwary wybrać. Poszliśmy do Renaissance, gdzie grywa Sarah Bernhardt. Widziałem już niejedną aktorkę – i Modrzejewską i Duze, ale żadna z nich mierzyć się z nią nie może. Przepyszny głos: miękki, potoczysty, melodyjny. Mogłaby stać bez ruchu i mówić tylko, a byłaby to już nieporównana gra. Najpierwsza aktorka świata.

Moja towarzyszką, jak prawdziwe dziecko barbarzyńców, wpadła w taki zachwyty, że musiałem ją wciąż powstrzymywać, aby zachowywała się spokojnie i nie przeszkadzała sąsiadom.

Po spuszczeniu zasłony była jakby nieprzytomna: gwar i huk bulwarowy odurzył ją do reszty; niezmiernie zabawny miałem widok. Uparła się, żeby wziąć ją w pół, pod pachę, jak zwykle chodzi się z »etudiantkami«, i pójść z nią przez bulwary. Zaprowadziłem ją do Café Riche: olśniło to ją do reszty.

Przechadzka taka jest wcale przyjemna, przyjemniejsza może niż ta sama rozrywka z Gabryelą. Za to brak zakończenia. Cóż robić...

*Dnia 19 grudnia.*

Kochana Wandziu, list ten piszę do Ciebie już z nowego mieszkania; od trzech dni mieszkam już sam, na rue des Ecoles 1. 72. Mam ładny pokój; na czwartym wprawdzie piętrze, ale za to widok na cały plac przed Collège de France prześliczny. Pokój ustronny, cichy, doskonały do pracy, ale nie wiem

zupełnie, jak ta praca pójdzie. Wstęp do wszystkich bibliotek już uzyskałem i o ilem przejrzał pobieżnie katalogi, znajdę tu mnóstwo materiałów do wszystkich robót, które rozpocząłem. Zaraz po świętach, spróbuję zmusić się do systematycznych zajęć, choć nie wierzę w ich rezultat.

Pytasz mi się, czy piszę co obecnie i czy wykończę tę powieść, które; urywki Ci czytałem. Odpowiedź, znając mnie, zgadujesz dobrze. Niestety, nie piszę nic... prócz pamiętnika. Ale pochodzi to nie tyle z braku czasu – jakieś wywnioskowała z pierwszego mego listu – ile z braku chęci, zapału i poprostu – mocy. Przechodzę jakieś dziwne osłabienie duchowe; chwilami zdaje mi się, że wszystko się rozsypuje we mnie; taka próżnia tworzy się w myślach. Nie wiem, czy to jest skutek tego, że się wyrwałem z otoczenia, w którym wzrosłem i do którego przywykłem – ale Paryż szalenie mię przygnębia. Tu gdzie wszystko tryska namiętnością, szalem, przepychem, wszystko wre, krąży i huczy, gdy się czuje dreszcz, który przenika i pali te trzy miliony istot ludzkich – wtedy nie można znieść tej myśli, że się nie ma nic, nic zupełnie. Nietylko o majątku mówię; ale czym jest to wszystko, co czułem lub czuć mogę, wobec ogromu, co tu na okół mnie szumi... Gdy chodzę czasem wieczorem po ulicach, to poczucie obcości, znikomości tak mię przeraża, że szarpałbym palcami kamień, aby ryse w nim wyźłobić, ślad jakiś, że istniał.

Dobrze, żeś mi na święta nic nie przysłała, bo tu jest mnóstwo utrudnień celnych, i miałbym tylko kłopotów i wydatków bez liku. Święta prawdopodobnie spędzę w domu: tu nie obchodzą

Bożego Narodzenia tak uroczycie, jak u nas. Na Wiliją mam dwa zaproszenia: jedno do panny Zaleskiej, naszej koleżanki, o której bodaj, że ci wspominałem w uprzednim liście; drugie – do doktora Korzyckiego, który tu od dziesięciu przeszło lat jest osiedlony i zwykle zbiera u siebie na Wiliją towarzystwo polskie. Tam w każdym razie nie pójde, bo nie lubię towarzystwa zupełnie obcych ludzi. Najchętniej rzeczywiście zostanę w domu.

Nie piszesz mi nic o zdrowiu swoim: zwykle zmiana pory roku Ci szkodzi, zwłaszcza, gdy przy tych słotach biegasz za lekcyami. Nie czytałem dawno »Kuryera«; nie wiem więc, jaka u was pogoda. Tu wiosna bez ustanku: sypiam przy otwartych oknach.

Odpisz mi jaknajrychlej, bo jestem zawsze niespokojny, kiedy zbyt długo nie ma od Ciebie wiadomości. Pisząc zrobisz miłosierny uczynek, bo wierzaj mi, że Paryż nie jest dla mnie dotąd wcale obiecaną ziemią wesela i rozkoszy. Przypominam Ci nowy adres (rue des Ecoles 1. 72).

Twój *Janek*.

Na Wiliji będziesz u wuja?

*Dnia 21 grudnia.*

Po co ja wczoraj ten list do siostry wysłałem? Nie pamiętam już dokładnie, com napisał, ale napewne za dużo. Chyba po to wspominałem jej o tem rozdrażnieniu i przygnębieniu, aby dręczyć to najszlachetniejsze i jedyne zapewne przywiązanie, którego doznałem. Miłość matki ma w sobie zawsze coś

zwierzęcego, jak przywiązanie samicy do płodu; miłość kochanki – to maniackie zaspokojenie potrzeby; miłość siostry dopiero jest świadomem, prawdziwie ludzkim uczuciem, którego żadne inne zwierzę nie zna, choć wszystkie płodzą się i przyjaźnią. Rozumiem, dla czego we wszystkich pierwotnych mytach ludzkości występuje zawsze związek brata i siostry, jako naturalne, jakby od przyrody samej przeznaczone stadło.

Jestem przekonany, że list mój zmartwi Wandę do żywego. Gotowa sobie Bóg wie co o mnie wyobrażać. Ostatecznie wprawdzie nie skłamałem o swoim rozdrażnieniu, ale w każdym razie bardzo przesadziłem, bo w ogóle przecież czas upływa mi dość przyjemnie. Jestto mała, obrzydliwa nikkzemność, bawiąc w Paryżu, dręczyć biedną dziewczynę pisaniem podobnych listów. Tym głupsza, że bezcelowa.

*Dnia 22 grudnia.*

Dziś rano przyszedł do mnie Turski po raz pierwszy. Przepraszał mię bardzo, że wcześniej przyjść nie miał czasu, gdyż przygotowywał się do egzaminu i nawet wieczorem przesiadywał się do egzaminu i nawet wieczorem przesiadywał w bibliotece. Do naszej zwykłej restauracyi też nie mógł przychodzić, gdyż musiał towarzyszyć Zaleskiej na obiady, a tam, gdzieśmy się stołowali, kobietom bywać nie wypada. Na tem rozmowa się urwała, gdyż właściwie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Wreszcie Turski przypomniał mi, że jestem na Wilią proszony do Zaleskiej, ale że za to muszę przyjść dziś do niej popołudniu pomagać – jako dragoman – w kupowaniu

zapasów, i jako tragarz – w przynoszeniu ich do domu. Turski prosił mnie, abym idąc tam wstąpił po niego, gdyż nie mając zegarka, mógłby się łatwo zasiedzieć i spóźnić. Z zachowania się Turskiego mogłem wnosić, iż zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo mnie raził nasz dzisiejszy stosunek tak różny od dawnej przyjaźni. Rozdrażnienie moje tłumaczył sobie, jako kaprys wywołany kaszlem i katarem. I mnie dziś ten stosunek nasz mniej drażni, skoro rozstaliśmy się i widujemy się o tyle rzadziej. Ostatecznie, wszystko jedno.

Popołudniu, wybraliśmy się, jak było umówione, po sprawunki. Pierwszy raz byłem u Zaleskiej w jej nowem mieszkaniu, już w naszej dzielnicy. Przyzwyczała się trochę do Paryża, do życia tutejszego i nowych nieco dla niej stosunków koleżeńskich. Do Wilii nie czyni się tu wielkich przygotowań i nie ma też w sklepach takiego niemiłosiernego tłoku, jak u nas: można więc było swobodnie rozmawiać. Jest to sympatyczna dziewczyna, zwłaszcza, że w niczem niepodobna do przeciętnego typu studentek. *Au physique* – umie się ubrać i ma bardzo zręczne ruchy; *au moral* – nie ma w niej tego zacietrzewienia i cierpkości, słusznej może, ale tak niemiłej w uczących się kobietach. Chyba nie będzie długim gościem w Paryżu; jej za bardzo obojętne jest, co ma studyować, aby w ogóle miała na seryo coś robić. Zdaje mi się, że przyjechała tu, aby wydobyć się z domu i pozbyć dawnego otoczenia. Mogę się mylić zresztą, bo o tem rozmawialiśmy tylko urywanemi zdaniem.

Sprawunków zakupiliśmy tyle – niepodobna było Zaleską

wyrwać od Potina – że trzeba było wziąć doróżkę, aby odwieść wszystko do domu. Zaleska pojechała z Turskim, a ja zostałem, bo nie chciało mi się tak wcześnie wracać z bulwarów na lewy brzeg. Siadłem przy stoliku w kawiarni niedaleko Opery i przyglądałem się przez kilka godzin tym tłumom, które przesypywały się bezustanku z jednego końca bulwarów na drugi. Ten tłum nie rozdrażniał mię tak, jak zwykle, lecz dziwnie jakoś kołysał, wciągał w siebie i pochłaniał. Pamiętam, że podobnego wrażenia doznawałem niegdyś, leżąc nad brzegiem morza, gdy fala, jedna za drugą, bez ustanku, pchana wiatrem, którego wyczuć niepodobna było, biegła na piasek z pluskiem i tysiącem szemrzących strumyków nazad się cofała. I tu i tam nieskończoność ruchu, która pociąga i znicestwia. Wróciłem późno w nocy.

*Dnia 23 grudnia.*

Zabawił mię dziś Poliński. Po obiedzie byłem z nim w kawiarni. W ogromnie ciężkich i zawitych, jak zawsze, frazesach opowiadał mi – z tajemniczą miną – że mu się zdaje, jakoby Turski miał się do Zaleskiej, a i »ona na to, jak na lato«. Przestrzegał ich nawet żartobliwie słowami bajki:

Ostrożnie dzieci, wy się źle bawicie,  
Dla was jest to igraszka, tu chodzi o życie.

Pyszny materyał na wujaszka z tego Polińskiego!  
Poliński ogromnie lubi udawać człeka przemyślnego a znawcę

dusz ludzkich – ale tu zdaje mi się, że się pomylił i puścił tylko głupią plotkę. Jak tam z panną, nic wiem: ani mię to obchodzi, ani ją znam dostatecznie, abym wiedział, jak się u niej słabość sercowa objawia, choć taki spacerek do Café-Riche kobiety zakochanej wcale nie zdradza. Ale Turskiego to Poliński znów wcale nie zna. On zawsze i wszędzie lubił się opiekować, patronować komuś, jeśli sądził, że jestto potrzebne. Lubi, żeby go poważano i słuchano jego słowa i rady. Dlaczego więc i tutaj nie ma się zaopiekować, zwłaszcza, gdy ta opieka ma przecież swoje smaczne strony. W tej posusze rodaczek Zaleska doprawdy jest najprzystojniejsza, a wydaje się miłą, bo bardzo jest wdzięczna każdemu, kto ją odwiedza.

Na plotkarskiej psychologii Polińskiego zarobię dziesięć franków; zabawiliśmy się bowiem w miłosnego totalizatora: meta – pierścionek zaręczynowy na palcu, czas – Wielkanoc, stawka – dziesięć franków. Szkoda, że nie setka.

Poliński ma też być na Wilii u Zaleskiej. Będzie więc nas czworo.

*Dnia 24 grudnia.*

Nie miałem najmniejszej ochoty pójść do Zaleskiej, a kiedym został w domu, zły jestem na siebie i żałuję tego. Wola moja składa się zawsze jakby z dwóch połów, z których jedna jest zaprzeczeniem drugiej. Jaka połowa stanie na wierzchu i wysunie się jako czyn – jestto rzeczą przypadku, przelotnego wpływu, którego nieraz nawet sam nie dostrzegam. Zarówno w drobnostkach, jak i w najważniejszych sprawach – postanowienie

jest dla mnie męczarnią, której nie znam równej.

Jakbądź się stało, siedzę w domu sam, a jest już po dziesiątej, a więc za późno, żeby wyjść do Zaleskiej. Mogli zresztą przysłać po mnie, jeśli byli zaniepokojeni lub jeśli im zależało rzeczywiście na mojej obecności. Niechaj się bawią... W mieście wszystko pozamykane; nawet kawiarnie zaświewowały od dziesiątej. Zresztą codziennie mam dosyć wrzawy i gazet.

Cisza, cisza... Wypełza z kątów, wylata ciężkimi skrzydłami, potężnieje, nabrzmiwa, wznosi się jak fala i usta, oczy, głowę mi zatapia. Wszystkimi szczelinami wchodzi do wnętrza mej istoty, rozlewa się w krwi i kościach, sączy się do serca, a dzwoni i huczy, jak muszla pusta, gdy do ucha ją przyłożyć. I nie lęka się ani szelestu kroków, gdy chodzę po pokoju, ani szmeru kartek książki, którą przerzuciałem, ani dźwięku piosenki, którą próbowałem nucić – ale wchłania je w siebie, przetrawia i w ciszę taką samą, niezmaconą, przemienia...  
Rozpacz!

Nie chciałem iść do Zaleskiej, bo ostatecznie, cóż mię z nią i tymi wszystkimi ludźmi wiąże; ale teraz dałbym nie wiem co, aby wyrwać się z tej ciszy, mówić i słyszeć głos ludzki.

I to jest życie, młodość? Ta ohydna pustka, nicość? Chciałbym raz żyć, szaleć, płonąć, chociażby cierpieć przyszło i zginąć. Ale pragnę, a nie umiem tego – lub też dla mnie innych potrzeba rozkoszy, niż te, które wszystkich sycą. Mam może za twardą duszę, aby ją zwykłe rylce rysować i rzeźbić mogły. A może tylko nie umiem czuć, nie umiem żyć i radować się

życiem – bo i to jest sztuka, którą wyssać lub której nauczyć się trzeba. Cała przeszłość moja prześlizgnęła się dotąd po mnie, jak fala po głazie, nie zostawiając w swym odwrocie nic, prócz piany i szumowin. Miałem może zadowolenia i radości, ale szczęścia, tego wielkiego słonecznego szczęścia nie widziałem nigdy. A wszystko inne jest surrogatem, blichтром, fałszem, tylko szczęście jest pięknem i prawdą. A jednak... drżało mi niegdyś w rękach serce dziewczęce, niewymownie piękne i czyste – i porzuciłem je wprzód, zanim może zdołałem się przesyć. Marzyłem o sztuce, o poezji – i napisałem kilkadziesiąt wierszy, gdy przecież życie, samo życie powinno być pięknem. Żyć każdą iskrą krwi, każdym błyskiem duszy – to tylko jest sztuką.

Tymczasem jest cisza, cisza... Minęła już północ, a nie nadchodzi ani sen, ani znużenie, nic, prócz ciszy.

.....  
.....

Na niebie mojem chmury,  
Lecz z nich nie strzelą gromy, zwiastuny złotych burz.  
Ogrody moje kwitną,  
Lecz niema fiołków w nich, lilij białych, ani róż.  
Ponure moje oczy,  
Lecz suchej ich źrenicy nie zwilży srebrna łza.  
Zmęczone moje dłonie,  
Lecz ręka, co omdlewa, nie rwała paszczy lwa.  
Stęsknione moje serce,  
Lecz w piersi rozmarzonej ohydna żądza trwa.

Pogodne moje czoło

Lecz w czaszce rozpalonej bezsilna rozpacz łka.

To prawda... lecz na cały wieczór męki, to za mało.

Od dzisiaj zabrałem się do pracy; biblioteka jest otwarta i myślę przesiadywać tam codziennie pięć do sześciu godzin. Opracowywanie materiałów w domu też pochłonie czasu sporo. Po za swoją pracą nie chcę o niczem wiedzieć, nic więcej mię tu nie powinno obchodzić. Życie w Paryżu może być równie jednostajne, jak w każdym innym ludzkim gnieździe. Ten gwar wielkoświatowy, umysłowe i polityczne prądy, całe tętno świata, którego byłem tak ciekaw, o wiele wspanialej przedstawiają się zdaleka, aniżeli tu na miejscu wśród wrzawy drobnych, codziennych wypadków. Jak zawsze drzewa zaślaniają las.

Przyroda tak samo jak ja, zabrała się do zimowej pracy i osypała nas śniegiem i opadła mrozem, jak na Paryż, niezwykłym. Zimno, które tu panuje zwykle w mieszkaniach, ożywia zawsze stosunki towarzyskie w kolonii polskiej. Ludzie zbierają się razem i grzeją się... ciepłem zwierzęcem. Dzisiaj wybieram się z Polińskim na wieczór do Łużeckiej.

Wczoraj byłem u Zaleskiej, aby się wytłómaczyć, żem na Wilią nie przyszedł. Zaleska udawała zagniewaną, nie chciała słuchać wymówek, powtarzając, że zrobiłem jej tylko niegrzeczny kaprys. Zresztą miałem za ten »kaprys« najwięcej żałować sam, bo bawili się doskonale. Poliński był zmęczony i wyszedł wcześniej, ale z Turskim doczekali północy.

Zaleska była w ogóle niezwykle wesoła i rozbawiona. Prosiła mnie, abym zabrał ze sobą Turskiego i przyszedł do niej po raz drugi popołudniu – ale odmówiłem, bo nie chcę zupełnie zacieśniać swego stosunku z Turskim więcej, niż jest obecnie. Najlepiej będzie, jeśli będziemy chodzili każdy swoimi drogami.

*Dnia 27 grudnia.*

Dzień dziesięcyy należy do najciekawszych w moim życiu. Spotkałem Turskiego na obiedzie, siadł przy mnie. Przypomniałem mu, że mamy się zejść z Polińskim i Starzewiczem w kawiarni wieczorem i iść razem na posiedzenie francuskiego towarzystwa studenckiego. Zaproszono nas, i chciałem bardzo poznać życie francuskie nieco bliżej, niż to można uczynić na ulicy. Odpowiedział mi, że musimy mu wybaczyć i iść bez jego przewodnictwa – on przecież najdawniej z nas mieszka w Paryżu – gdyż on wieczorem wybiera się do Zaleskiej. Powiadam mu pół żartem, że to zaczyna być podejrzane. A on mi na to, patrząc zabawnie w oczy: »dlaczego?« – i dodaje zwolna: przegrałeś dziesięć franków... Tak mi się wydawały dziwne mina jego, głos i ta radość cała, widoczna na twarzy, że początkowo po prostu trudno mi było z nim mówić.

Ale potem rozgadaliśmy się i miałem takie wrażenie, jakgdyby przegroda, która nas dzieliła upadła nagle i wróciły dawne czasy nieograniczonej ufności i przyjaźni. Opowiedział mi wszystko. Właściwie zakochał się jakoś nagle i niespodzianie,

i już w kilka dni po moim przyjeździe nie mógł sobie dać rady z tem uczuciem, które chciał zdławić, bo nie śmiał wierzyć, aby ona go kochała. Był tak rozdrażniony, że tylko udając zupełną na wszystko obojętność, mógł jakoś ukrywać, co się z nim dzieje. Tymczasem ona kochała go już wtedy, kiedy jeszcze ledwie się znali, i płakała po nocach i uspokoić się nie mogła, jeśli go przez dzień cały nie widziała. Widziałem dobrze, jak jej był za tę miłość wdzięczny. Oświadczyli się sobie w dzień wili, po odejściu Polińskiego, tak jakoś zniecka, że trudno by powiedzieć, kto właściwie dał początek. Przesiedzieli wtedy razem prawie do rana. Był zakochany, kochany, zaręczony, szczęśliwy. To wszystko i chyba dosyć.

Rozmawialiśmy długo, bardzo długo. Ja mówiłem nie wiele, bo tak mię nowe położenie Turskiego dziwiło, a nawet, czegom się nie spodziewałem, wzruszało, że trudno mi było myśl jakąś skleić; natomiast on opowiadał bez przerwy. Naturalnie, chciał się żenić, ale nie było to możliwe prędzej niż za trzy lata, po ukończeniu studyów: czas ten jednak przeleci prędko, o tem nie ma mowy. Ona zgadzała się na wszystko, byle być z nim.

Nie spotkałem jeszcze w życiu człowieka tak uradowanego: radował się w nim doprawdy każdy atom krwi. I czegóż w radości tej nie było: miłość, wdzięczność, nadzieja, duma, szczęście, wszystko!

To jednak niezwykły charakter jest Władek Turski. Wśród nas, którzy z rodzinnego domu nie dostajemy nic, prócz banalnych przepisów, a z życia bierzemy tylko to, co na

wierzchu najdostępniejsze, on rzeczywiście sprawia wrażenie arystokratycznego dziecka, które się urodziło w wysokich komnatach i w kołysce słyszało nie jęk nianiek, lecz organy. Co ten człowiek już stracił, a ileż mu jeszcze pozostało! Szmat za szmatem wyrwał z siebie wiarę, ale zachował cały bezmiar uwielbienia dla tego, co czcić chciał; gardził prostytutką i dusił w sobie zmysły, a nie brakowało uniesień w jego miłości. Jestto człowiek czysty.

Radość Turskiego udzieliła mi się: słuchając go czułem się odmłodzony jakiś i rzeźwiejszy. Byłem zadowolony, że fałszywy nasz stosunek raz się wyjaśnił i to pomyślniej, niż przewidzieć mogłem. Wszystko było teraz wytlómaczone. Cieszyłem się również jego szczęściem: gdy mi o niem opowiadał, kilka razy kręciły mi się łzy w oczach.

Dla jego narzeczonej posłałem bukiet; kontent jestem, że mogłem jej zrobić przyjemność, gdyż ona przepada za kwiatami. Przykro mi tylko trochę, że byłem złym obserwatorem, ale czyż można było się tego po cichym Władku Turskim spodziewać. Jestem pewien, że kaźden z jego dawnych kolegów trzymałby też w zakładzie moją stronę.

*Dnia 29 grudnia.*

Władek źle jednak robi, że swych zaręczyn publicznie nie ogłasza; przez to plotki tylko powstawać będą. Niby nie ma w tem tajemnicy; kto chce, może domyślać się i wiedzieć. Przed nami t. j. przedemną i Polińskim, Turski mówi wciąż o swej miłości; widać, że tylko ten przedmiot go zajmuje. Zdaje mi się,

że w podobnym wypadku byłbym więcej skryty. Chociaż... nie wiem. To powtarzanie: kocham, kocham, kocham... jest czysto odruchowe i niewłasnowolne, jak śpiew ptaka na wiosnę.

Pomimo, że zaręczyny nie są wszystkim oznajmione, w damskiej kolonii naszej panuje już straszne oburzenie. Mężczyzna tak jest rzadki i tak często sprzedaje się teraz »en détail«, że dostać całego odrazu jest świetnym interesem. Wystawić sobie można wściekłość koleżanek, że przyjechała obca intruzka, nawet na żadnym wykładzie się nie zjawiała i rogów wielkiej mądrości nie pokazała, a już męża trzyma. Nie ma nic pociesniejszego nad ich ironiczne miny, w których świetnie widać tę utajoną i niby nie istniejącą złość. Zwykle mię to śmieszy, lecz dzisiaj Łużecka zirytowała mię do żywego. Jest głupota, która już graniczy z podłością. Zarzucała Zaleskiej wręcz, że przyjechała tylko, aby wydać się za męża – co wiem, że nie jest prawdą. Natarłem na nią ostro i ostrzegałem, żeby nigdy nie mówiła o małżeństwie i miłości, bo jestto dla niej teren na zawsze obcy, na którym wygląda, jak kaczka ucząca się latać. Moja opinia złośliwego gbura jest ustalona na długo.

Teraz jednak, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, widzę, że może nie miałem tyle racji, ilem sobie początkowo przypisywał. Mniejsza zresztą o rację, ale rola szlachetnego obrońcy bywa czasem śmieszna i kto wie, czym właśnie takiej roli tutaj nie odegrał. Gdyby Łużecka była dowcipna, przysłałaby mi paczkę biletów wizytowych z takim np. napisem:

# JEAN KARSKI

## défenseur de l'amour outragé

Tak; śmiesznie się wygłada, broniąc, czego się nie posiada.

*Dnia 30 grudnia.*

Dotąd nie chciałem przeszkadzać Turskiemu w jego sielance; widziałem zresztą, że sobie nie życzył, aby Zaleską kto z nim razem odwiedzał. Dziś jednak nie miałem nic do roboty po obiedzie, a upłynął już tydzień od oświadczyn, więc wypadało nawet narzeczonej powinszować. Kupiłem bukiet białych róż i narcyzów i poszedłem do niej; mieszka teraz przy ulicy des Feuillantines, na wprost klasztoru.

Widzę z ulicy, że jest światło w pokoju, ale przyćmione; paliło się tylko na kominku. Pukam do drzwi; otwierają mi. Naturalnie, Turski jest u niej. Witając się z nimi czuję, że mają dłonie wilgotne i ciepłe. Daję Zaleskiej bukiet i nie wiem dlaczego, pomimo, że słowa płyną mi dość gładko, nie zdobywam się na żadne powinszowania lub życzenia. Cała uroczystość sprowadza się szczęśliwie do mocnego, znaczącego uściśnienia ręki.

Nie zdaje mi się, żebym im był zawadzał. Siedzieli dalej przy sobie na kanapie, trzymając się wespół i przytulając do siebie. Siadłem opodal na krześle; rozmawialiśmy trochę, chociaż

najczęściej milczeliśmy – i to było najwymowniejsze.

Oni są w tem stadyum, że obecność osoby trzeciej nic a nic im nie przeszkadza. »Ten trzeci« nie istnieje dla nich. Całowali się przy mnie tak, jakgdyby byli we dwoje. Poliński, którego spotkałem wracając później, mówił mi, że to samo robili przy nim i przy Starzewiczu, chociaż go prawie wcale nie znają.

Zaleska jest jednak strasznie zakochana. Dość spojrzeć na jej oczy i ruchy; a nie przypuszczałem nigdy, żeby panna »z dobrej sfery«, napojona po uszy konwenansami, dała się publicznie tak całować i pieścić. Widocznie nie znam się na kobietach – ale Zaleska jest wyjątkowo uczuciowa, impulsywna, pierwotna.

Jest ona teraz tak naiwnie i niewinnie bezwstydna – co zresztą bardzo jej do twarzy – że gdy patrzę na nią mimowoli przypomina mi się nieśmiertelna Haida z Don-Juana. Widzę teraz nawet, że i dla niej i dla Turskiego przyjemnie jest, jeżeli mają świadków, którzy mogą patrzeć na nich i podziwiać ich miłość.

Władek ma jednak ogromne szczęście. Narzeczeństwo wśród rodziny, w rodzinnem mieście jest obstawione tak obrzydliwie ohydnyim ceremoniałem zwyczajów, że wątpię, czy może się tam ostać choćby krzynka szczęścia. Tutaj, w olbrzymiem obcym mieście, w zupełnej samotności, którą można stworzyć jednym obrotem klucza, narzeczeństwo staje się piękną uwerturą, której słuchając, można zapomnieć doprawdy, że czekają całe akty długiej opery. Bo kto wie, jakie śpiewacy mają głosy i ile dysonansów się wkradnie.

Za długo widocznie siedziałem w gniazdku przy ulicy Feuillantines, bo mi się teraz wciąż przed oczami kręci Zaleska w tych wszystkich rozmiłowanych pozach, w których ją widziałem. Ależ ona ogromnie w ostatnich czasach wyprzystojniała... Kobieta, która kocha, jest nietylko najmądrzejszą, ale i najpiękniejszą.

*Dnia 31 grudnia.*

Kochana Wandziu, piszę do Ciebie tylko kilka słów na karcie pocztowej, żeby Ci powinszować – choć może zbyt późno – Nowego Roku. Jestem ogromnie zajęty i dla tego niemam czasu na obszerniejsze listy. Nie miej mi tego za złe. Nie mam Ci zresztą nic do oznajmienia, bo u mnie nic nowego nie zaszło. Ale... Władek Turski zaręczył się z tą koleżanką Zaleską, o której Ci kiedyś pisałem. Stosunki nasze stały się serdeczniejsze obecnie i częściej się z nim widuję.

Twoją kartkę, pisaną w pierwszy dzień świąt, otrzymałem. Czyś była jeszcze u kogo podczas świąt? Byłaś zapewne u pani Reuter. Podobno macie ciągle odwilże w Warszawie; czy nie szkodzi ci to na zdrowie?

Twój *Janek*.

*Dnia 2 stycznia.*

Od kilku dni absolutnie nic nie robię. Przerwałem studia w bibliotece, bo czeka mię mnóstwo przepisywania starych dokumentów, a to przejmuję mię niewysłowionym wstrętem. Natomiast chodzę po obiedzie z Turskim do kawiarni i przez

kilka godzin słucham, czasami nawet z radością, jego spowiedzi i wynurzeń, które płyną teraz bez końca. On wprost spieszy się donieść i mówić mi o swem szczęściu. Jestem mu wdzięczny za tę przyjaźń i za tę ufność. Potem odprowadzam Turskiego do uniwersytetu na wykłady i idę zwykle nad brzeg Sekwany i chodzę tam dopóty, dopóki zmęczenie zupełne nie zmusi mię do powrotu.

Nie znam nic piękniejszego nad Sekwanę od Katedry do Luwru, ale teraz prawie nie przyglądam się temu widokowi; pamiętam go doskonale w najdrobniejszych szczegółach, a powtórę głowa mię boli jakimś głuchym, rozsadzającym bólem, i chodzę nie po to, aby patrzeć, lecz aby ukołysać myśli.

Dawno już nie miałem takiego wrażenia próżni, bezsilności, beżużyteczności mojej i wszystkiego, co mię otacza – jak w tych dniach ostatnich. Wstaję, jem, chodzę, myślę, piszę jakąś rozprawę, lecz żeby mię zabito, nie wiem, po co to wszystko się robi. O tyle jestem inteligentny, iż rozumiem, że – jak się to mówi – ze mnie nic nie będzie, że przestanę kiedyś jeść, chodzić i myśleć, że rozprawy moje tak samo nie obchodzą nikogo, jak moja osoba, jednym słowem, że jestem absolutnie niczem, jedną wielomilionową częścią czegoś, co samo jest może także tylko milionową częścią.

A uczucie takie jest stokroć bardziej przykre, jeżeli na początku swego świadomego życia miało się marzenia i nadzieje, jeżeli wschód życia, jak wschód słońca rzucał długie, piękne cienie. Sądziłem, będąc dzieckiem, że wielkość cienia tego, to

moja własna wielkość. Teraz jest południe: cień się zwinął, a ja się zgarbiłem.

Chociaż dzisiaj mi się wydaje, że gdyby mi coś nawet pozostało: jakaś idea, zdolność jaka – i to byłoby mi obojętnem. Ażeby łączyć rozdać na poemat, trzeba mieć dużo wody i bezwstydu.

Karg ist Natur, ein Schein die Kunst, dem Triebe  
Der Sehnsucht schenkt Gewährung nur die Liebe.

To chyba prawda... bo Turski jest teraz tak żywy i dzielny, tak sobą tylko zajęty, że mimo swej czulej wrażliwości, zdaje się wcale nie spostrzegać męczącego mego stanu i świdruje mi uszy nieustannym hymnem miłości. Potrzeba mu słuchacza, aby mógł śpiewać; a któż lepiej do tego się nadaje, niż stary, zaufany przyjaciel. Moja teoria stosunków ludzkich sprawdza się raz jeszcze. Wieczny, wieczny wyzysk.

*Dnia 4 stycznia.*

Nie, nie idzie mi praca. Wszystkie usiłowania, aby zmusić się i przewyciężyć, spełniają nadaremnie. Robota nie posuwa się, i tylko ból głowy, gorący, szalony, wzmaga się i przenika wszędzie, szarpiąc i gniotąc – niby rozpaloną ręką. Zmarnowałem cały dzień na przechadzkę. Błądziłem po zaułkach, przedmieściach, po ustronnych kątach, byle być w miejscach jak najspokojniejszych i jaknajdalej od domu. I chodzić i nie myśleć o niczem... Wreszcie znalazłem się w Auteuil i ztamtąd wróciłem rzeką. Ta cudowna panorama od wiaduktu w Auteuil, koło Marsowego pola i Trocadera, koło

Luwru, Katedry uspokoiła mnie trochę swą kamienną pięknnością – tym łatwiej, że statek o tej porze dnia i roku był pusty.

Już koło domu w Quartier spotkałem Polińskiego, który szedł do mnie, aby mię zabrać na wielkie bulwary. Lubię z nim chodzić, bo jest tak gadatliwy, że prędzej wówczas przestaję myśleć, niż gdy jestem sam – zgodziłem się więc chętnie. Pojechaliśmy na bulwary, siedzieliśmy w kawiarni, słuchaliśmy ludowych piosnek gdzieś w Café-Concert – nie wiem już zresztą, cośmy robili. Mój ból głowy stał się podobny do przepaścistej nudy; a Poliński twierdził, że nie mam humoru i muszę być zaziębiony.

Wracając już po północy przechodziliśmy przez ulicę Feuillantines. Świeciło się w oknach, więc zaczęliśmy wydawać okrzyki, służące nam za hasło porozumienia w takich wypadkach. Poliński świetnie naśladuje ryk wołu i bek barani. Okno się otworzyło i ukazali się... oczywiście oboje. Turski powiedział nam, abyśmy chwilę poczekali, a zaraz zejdzie i pójdzie razem z nami do domu. Okno się zamknęło i na tle firanek ujrzeliśmy scenę pożegnania, jak zawsze...

W Paryżu, w tem klasycznym mieście rozpasania, staję się strasznym świętoszkiem: widok ten mię gorszył i poważnie gniewał. Przypuszczalnie, za jaki tydzień zapiszę się do ligi Berengera.

Turski wyszedł. Był trochę zarumieniony, a na powiekach lśniły mu się drobne kropelki. Sześć razy kłaniał się oknu, w którym była już tylko bezkształtna sylwetka. Bałwochwalca!

Scenka ta zirytowała mię tak, że byłbym błogosławił wszystko, coby Turskiemu mogło sprawić jakąkolwiek przykrość; sam nie wyrządziłbym jej jednak nigdy. Chciałbym tylko módz się litować nad nim i pocieszać, bo mimo chwilowej złości, jestem jego przyjacielem. Nie prędko jednak będzie potrzebował tej przyjaźni.

*Dnia 5 stycznia.*

Logika formalna jest stekiem błędów, a największym i najjaskrawszym *tertium non datur*. Duch nasz jest autokratą i niema sprzeczności, którejby zgodzić nie mógł.

Jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy radością Władka. Kilka razy na prawdę się rozrzewniłem słuchając jego wynurzeń. Przytem cieszę się jeszcze dla tego, że jednocześnie przekonywam się, iż jestem głęboko wrażliwy na cudze szczęście, a więc jestem uczciwym, szlachetnym człowiekiem. Mimo to, ani jednej chwili nie przestaję teraz czuć, że gdyby Turski utracił swe szczęście, byłbym... może kontent. To jest... zależnie od tego, jakby je stracił. Gdyby Zaleska umarła, płakałbym z Turskim; gdyby ją nagle potrafił zyskać kto inny, pomagałbym może zabić uwodziciela, lecz z tego co zaszło, byłbym prawie rad – nie jakąś radością określoną, zdecydowaną, jasną, ale tym niezwykłym nastrojem, wewnętrzną pogodą, która się tworzy w najskrytszych podwalinach duszy.

To, do czego się przed sobą przyznał, nazywa się zwykle niczemnością, i z tego jestem dumny. Świadczy to, że uczucia moje są nieustraszone i potrafią jak bohater z baśni, wtargnąć na

każdy szczyt – mimo larw, które zewsząd grożą.

Dziś zadałem sobie pytanie, którego unikać dłużej nie mogę w żaden sposób. Może ja Zaleską Kocham? Jeżeli kobieta, której obecność jest dla mnie niepotrzebną, twarz – obojętną, pieszczota – zbyt uczynną, może być jednocześnie kobietą kochaną, – ha, w takim razie ja Zaleską Kocham. Zdaje mi się, że cierpię nie przez to, że ona kocha innego, lecz przez to, że mnie teraz kochaćby już nie mogła.

Zabrano mi to, co do mnie należeć mogło. Utracić możliwość jestto więcej, niż utracić rzeczywistość. Nie móż istnieć jest gorzej, niż nie istnieć.

*Dnia 6 stycznia.*

Nie przypuszczałem nawet, że tak lubię dawać kobietom prezenty. W ostatnich dniach byłem kilka razy u Zaleskiej, i nie mogłem iść tam ani razu, żeby nie przynieść jej chociażby kilku kwiatów. Dziś wydałem na to ostatniego franka i jestem z tego ogromnie kontent. Mówię sobie, że tylko głupiec nie rozumie, co to za rozkosz rujnować się dla kobiety. U Zaleskiej przesiadywałem krótko. Chociaż obecność moja im nie zawadza, zdaje mi się, że wypada możliwie się usuwać. Zresztą widok ciągłych pieszczot i uścisków drażni: czuję prędko ogień w skroniach i pot na ciele. Nie ja sam tylko tak na to reaguję. Mówił mi Poliński, że odczuwa zupełnie to samo: jestto przecież całkiem naturalne. Dziwię się, jak oni mogą to wytrzymać.

Równie naturalne, jak ogień w skroniach, jest myśl, która mię poprostu opętała. Dlaczego ja tak nigdy nie kochałem? Dlaczego

w mojem życiu nie zeszło się nigdy pytanie z odpowiedzią? Dlaczego odepchnięto mnie, kiedym pożądał, dlaczego, kiedy pożądanao mnie, odczuwałem tylko wstręt lub pogardę? Dlaczego dla mnie miłość była zawsze zimną, zacieklą, złą grą, której wygrana hańbi jak złodziejstwo?

Patrząc na Władka, czuję, że nie mógłbym kochać tak szczerze, otwarcie, tak prosto – i tego zazdrozczę mu najwięcej. Bo czyż nie jest to wyrafinowanem okrucieństwem pysznić się przedemną tem szczęściem, które ostatecznie dostało mu się trafem... Tak, przyjemniej i łatwiej wygrać majątek, niż się go dorabiać.

Ohydnie śmieszne w tem wszystkim jest to, gdy Władkowi się zdaje, że sprawia mi największą przyjemność, odstawiając przedemną swą miłość. W tych pieszczotach, których ani on, ani ona się nie żenuje, jest tyleż bezmyślnej, żywiołowej swobody, ile chęci pokazania, jak szczęśliwym być można... Wygląda to, jak wyzwanie, jak pogrożka: »Będziemy jeszcze szczęśliwsi«. Będziecie; wierzę wam.

Postępowanie Turskiego jest nietylko okrutne, ale niemiłosiernie głupie, bo nie sądzę ani jednej chwili, aby naumyślnie chciał przykrość mi sprawić i dokuczyć. Doprawdy zgłupiał.

*Dnia 7 stycznia.*

Zwiedzaliśmy dziś Luwr. Poszedłem najpierw z Zaleską sam, a Turski dopiero później po wykładzie z nami w muzeum się spotkał. Luwr nie zajmował mię wcale; nie lubię tych olbrzymich

zbiorów, gdzie wszystko zbite jest beładnie w jakąś pstrą mieszaninę, która przytłacza tylko i dławi. Nie doznaje się tam tego uczucia swobody, bezkresu marzenia, które przecież jest istotą rozkoszy, jaką dać może sztuka. Arcydzieła powinno by się chyba wystawiać w oddzielnych kaplicach.

Zdaje mi się, że napisałem kłamstwo. Prawdą jest, że nie lubię muzeów; ale mimo to, zwiedzałem je nieraz i sztuka, którą widziałem, porywała mię i czarowała. Dziś nie zajmował mię Luwr, bo była Zaleska i wszystkie myśli moje są jakby opętane. Sprawia mi teraz okrutną przyjemność wszystko, co może tę dziewczynę przedemną poniżyć. W ten sposób biorę jakąś idealną choćby zemstę nad Turskim: znieważam w myśli jego bóstwo. Naumyślnie nie pokazywałem Zaleskiej arcydzieł i śledziłem, czy je odczuje i odnajdzie. Ona nie ma wcale zmysłu artystycznego; zatrzymywała się przed najmarniejszymi obrazami i wygłaszała takie śmiesznie naiwne zdania, że tylko ta otwarta szczerłość była jedyną ozdobą tego, co mówiła. Wmawiam w siebie, że nie można się zakochać w kobiecie niewrażliwej na piękno: jestto gminność na cale życie.

Potem przyszedł Turski; nie patrzyli więc już na obrazy, tylko na siebie. I wtedy byli szczęśliwi.

Nie, ja stanowczo do szczęścia nie jestem zdatny. Szczęście to jest taka wyłączność, takie zaprzepaszczenie, że na to nie zdobyłbym się nigdy. Nie wiem, czy za dużo mam zmysłów, czy za wiele w duszy pożądań, ale jabym skorzystał z każdej szczeliny, aby się ze złotej klatki szczęścia choć na ból i

cierpienie wydostać. Tam gdzie inni oddychają, ja zaraz się duszę. Było tak już przecież.

Mogę się więc, tak jak teraz, pocieszać cudzem szczęściem. Tylko, że ta pociecha jest tak gorzka, iż jak dobry absynt, staje się nawet przyjemną. Tylko, tak jak absynt, pobudza łaknienie.

Łaknienie za czym? Za miłością? Za miłością Zaleskiej? Nie kochałem i nie Kocham nic w tej chwili. Za szczęściem? Nie potrafię go odczuć i zrozumieć. Za bogactwem? Nie wiem, na co bym go użyć miał. Łaknę życia; czym jest i gdzie jest – niewiem. Podobne łaknienie uczuwać musi chyba pisklę, gdy wychyla dziób, aby uderzyć i rozbić skorupę, która dzieli je od świata. Ale pisklę wie instynkt, a mnie nie wie nic. Chciałbym wysunąć żądze, jak szpony, i chwycić i zdruzgotać zaporę, co mi światło kradnie. Lecz nie wiem, gdzie iść, gdzie jest skorupa mej duszy.

*Dnia 8 stycznia.*

Po wczorajszej wycieczce do Luwru Zaleska była trochę słaba i Władek mię prosił, abym ją odwiózł do Korzyckiego. Korzycki przyjmuje chorych o trzeciej, a o tej porze Turski ma zawsze zajęcie w uniwersytecie. Początkowo wymawiałem się wykładami; zdaje mi się, że chciałem Władkowi zrobić na złość. Potem jednak ustąpiłem i pojechałem z Zaleską do Korzyckiego, na drugi kraniec Paryża.

Ta dziewczyna, gdy Władka przy niej nie ma, wydaje mi się zupełnie inną. Rozmawialiśmy cały czas spokojnie, po cichu, ufnie, jak rozmawiają starzy i dobrzy znajomi. Mimo całej

zyczliwości dla niej miałem chwilami dokładne wrażenie, że ta kobieta jest mi chyba obojętną, że nie pociąga mię do nie; nic nad to, czem każda kobieta pociągnąć może. Gdy nie mówiła o Turskim, co niestety zbyt rzadko się zdarzało, mogłem czasami zapomnieć o stosunku, jaki ją z nim łączy: tego mi tylko trzeba.

Coraz więcej mi się zdaje, że w tej dziewczynie ponętą jest tylko jej miłość. To uczucie działa na nią, jak ów pierścień z bajki, który posiadaczowi zapewniał wszystkie piękności i skarby. Gdy się przymila do Władka, rzeczywiście jest prawie piękna i ma taki wyraz w oczach, że wtedy oddałbym wszystko za to, aby przestała go kochać. Chyba trudno mniej żądać w życiu. Nie żądam miłości, lecz tylko spokoju, bezczucia, jak dawniej. Dopóki widzę, że ona jest zakochana, coś mię nurtuje, łamię, dręczy, odbiera swobodę myśli. Ja nie chcę o tem myśleć. Byłem tylko zasnął!

*Dnia 9 stycznia.*

Jest okropnem błagać kobietę o miłość, wić się u jej stóp, wołając: kocham, kocham; – i nie słyszeć nic, oprócz echa własnych słów, odbitych o próżnię, i odejść z myślą, że jest gdzieś marny, podły człowiek, dla którego kobieta ta tęskni i gardzi wszystkim: miłością, bólem, rozpaczą —

Ale gorzej jest, jeżeli w takiej chwili nie można zawołać nic więcej nad to: nie kochaj go. Są teraz chwile, gdy zazdroszczę Władkowi tak, że chociaż nie umarłem, zazdroszczę mu życia, jakgdybym wiedział, że on mnie przeżyje. Zresztą, takie istnienie jak moje, z wiecznem pożądaniem czegoś

nieuchwytnego, niewymarzonego nawet, z ciągłym niepokojem w duszy, na łasce każdego wrażenia, to nie jest życie, to sen gorączkowy i tak męczący, że często niewiedomo, czy nie lepiej raz się już obudzić. Mam takie dziwne zmysły, że potrafię odczuwać tylko gorycz, a to w końcu mdli i truć zaczyna. Jak zniszczony lubieżnik przez chłostę, przepędziłem się przez wszystko, co zawiść dać może – i nie doznałem nawet miłości, która temu dobremu, szczęśliwemu przyjacielowi dostała się tak łatwo. Nie kocham Zaleskiej i wiem, że w chwili, gdy ona przestanie kochać Władka, będzie mi tak obcą, jak kobieta, którą pierwszy raz widzę na ulicy. Jest to straszne, bo pozbawia mnie wszelkiej nadziei. Nie mam się o co starać, bo jeśli bym co osiągnął, zyskam mniej jeszcze, niż mam teraz.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.